



Kryminalna historia Krakowa. Proces Jana Struszkowskiego

2026-07-28

31 marca 1707 roku przed krakowskim sądem radzieckim, organem sądowym tworzonym przez miejskich rajców, który wówczas rozpatrywał najpoważniejsze sprawy karne, stanął młody żołnierz Jan Struszkowski. To historia nie tyle o samej zbrodni, ile o odpowiedzialności, winie i próbie ustalenia, czy tragiczny finał był skutkiem morderczego zamiaru, czy fatalnej lekkomyślności.

Jan Struszkowski był Krakowianinem. Jego ojciec był z zawodu krawcem i prowadził warsztat w mieście. Po jego śmierci rodzinny interes przejęła matka. Sam Jan nie wybrał jednak rzemiosła. Zaciągnął się do wojska, co w czasie wielkiej wojny północnej nie należało do rzadkości. W pierwszych latach XVIII wieku przez Małopolskę przetaczały się obce armie, a życie mieszkańców było podporządkowane wojennym realiom. Żołnierze stacjonowali w miastach i wsiach, korzystając z obowiązkowych kwater i świadczeń zapewnianych przez ludność.

Właśnie podczas takiej służby Struszkowski znalazł się w Jadownikach niedaleko Bochni. Tam pełnił wojskową powinność, a po tragedii wrócił do rodzinnego miasta, gdzie ostatecznie stanął przed krakowskim sądem.

Dzień, który odmienił jego życie, początkowo niczym się nie wyróżniał. Z akt wynika, że żołnierze spędzali czas na ćwiczeniach. Jednym z uczestników był Andrzej Kowalski, który później został najważniejszym świadkiem w procesie. Wspominał, że ćwiczono strzelanie do celu, a towarzyszył im młody Zatorski, często odwiedzający wojskową kwaterę. Nie wiadomo, kim był i dlaczego tak chętnie przebywał wśród żołnierzy. Historycy zwracają uwagę, że jego ojciec nie był zadowolony z tych kontaktów, lecz akta nie wyjaśniają powodów tej niechęci.

Świadek zapamiętał jedną, pozornie błahą scenę. Zatorski miał powiedzieć, że tego dnia nie będzie już strzelał. W innym miejscu akt przytoczono jego słowa: „Nie wiem sam, co mi się dzieje, ręce mi obwisły, jakbym sam nie swój był” – cytuje prof. dr hab. Marian Mikołajczyk w książce pt. „Z badań nad procesem kryminalnym w dawnym Krakowie”. Trudno dziś powiedzieć, co miał na myśli. Być może był zmęczony, być może źle się czuł. W świetle późniejszych wydarzeń zdanie to nabrało jednak niemal symbolicznego znaczenia.

Po ćwiczeniach wszyscy rozeszli się do swoich zajęć. Struszkowski odpoczywał w sadzie, Kowalski położył się w stodole. Zatorski ponownie pojawił się w pobliżu kwatery żołnierzy. Wtedy rozegrała się tragedia.

Struszkowski zeznał przed sądem, że przypomniał sobie o pozostawionym wcześniej muszkiecie. Był przekonany, że broń została rozładowana. Jak twierdził, nie żywił wobec Zatorskiego żadnej niechęci i nie zamierzał zrobić mu krzywdy. Dla żartu wycelował w jego stronę i nacisnął spust. Muszkiet wypalił. Kula trafiła młodego Zatorskiego. Według relacji świadków zdołał jeszcze zawołać: „Dla Boga!”, po czym upadł.

To właśnie od tej chwili zaczynają się pytania, na które sąd próbował znaleźć odpowiedź. Czy



Struszkowski rzeczywiście wierzył, że broń jest pusta? Czy zachował się skrajnie nieodpowiedzialnie, czy też świadomie oddał strzał do człowieka? Na tych wątpliwościach oparto cały proces.

Zachowanie oskarżonego tuż po tragedii nie przypominało jednak postawy człowieka próbującego ukryć zbrodnię. Świadkowie opowiadali, że natychmiast pobiegł po księdza. Był zrozpaczony, miał nawet mówić o odebraniu sobie życia. Dopiero później, namawiany przez gospodynię, opuścił miejsce zdarzenia. Nie uciekł jednak daleko. Przez krótki czas przebywał u bernardynów w Bochni, a następnie wrócił do Krakowa, gdzie mieszkała jego matka. Tam został zatrzymany i osadzony w więzieniu znajdującym się pod ratuszem.

Proces rozpoczął się 31 marca 1707 roku. Sąd nie pozostawił oskarżonego bez pomocy. Wyznaczono mu obrońcę z urzędu, patrona Domaśławskiego i odroczono rozprawę, aby mógł przygotować linię obrony. Sam fakt przydzielenia obrońcy z urzędu pokazuje, że krakowskie sądownictwo w XVIII w. funkcjonowało według znacznie bardziej rozwiniętych procedur, niż zwykło się przypuszczać.

Najbardziej niezwykły jak na ówczesne czasy, był jednak sam przebieg rozprawy. Nie ograniczała się ona do odczytania zarzutów i wydania wyroku. Oskarżyciel i obrońca wielokrotnie przedstawiali swoje argumenty, powoływali się na przepisy prawa magdeburskiego i autorytety dawnych prawników. Przedmiotem sporu nie było ustalenie sprawcy — ten od początku był znany. Rozstrzygano, czy Struszkowski działał z zamiarem zabójstwa.

Ojciec Zatorskiego, występujący jako oskarżyciel, domagał się najsurowszej kary. Twierdził, że samo skierowanie broni w stronę człowieka świadczy o winie, a tłumaczenie o niezaladowanym muszkiecie nie może zwolnić sprawcy z odpowiedzialności.

Obrona odpowiadała, że między młodymi ludźmi nie było żadnego konfliktu, nie istniał motyw zbrodni, a oskarżony od początku nie ukrywał swojego udziału w tragedii. Wszystko wskazywało na tragiczny splot okoliczności i lekkomyślność, nie zaś na zamiar zabójstwa.

Po wysłuchaniu stron sąd przyznał, że śmierć Zatorskiego nastąpiła z winy Struszkowskiego, ale jednocześnie uznał, że nie udowodniono mu zamiaru popełnienia zabójstwa. W uzasadnieniu pojawiło się określenie *casualiter*, oznaczające czyn przypadkowy. Sędziowie stwierdzili, że działał „poza swoim zamiarem i intencją” – podaje prof. dr hab. Marian Mikołajczyk w książce pt. „Z badań nad procesem kryminalnym w dawnym Krakowie”.

Wyrok musiał zaskoczyć wielu obserwatorów. Zamiast kary śmierci Jan Struszkowski został skazany na rok i sześć tygodni więzienia w podziemiach krakowskiego ratusza.

Ojciec zabitego nie pogodził się z takim rozstrzygnięciem i wniósł apelację. Można było przypuszczać, że sprawa będzie miała dalszy ciąg. Tymczasem wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Kilka tygodni później apelacja została wycofana.

Akta nie wyjaśniają powodów tej decyzji. Nie wiadomo, czy rodziny zawarły ugodę, czy decydującą rolę odegrała skrucha Struszkowskiego. Wiadomo jedynie, że sam skazany publicznie oświadczył, iż zamierza wstąpić do klasztoru. Niedługo później pełnomocnik ojca ofiary zwrócił się do sądu z prośbą o zwolnienie go z więzienia. Sąd przychylił się do tego wniosku.



**Magiczny
Kraków**

To właśnie ten nieoczekiwany finał sprawia, że proces Jana Struszkowskiego pozostaje jedną z najbardziej intrygujących historii zapisanych w aktach dawnego Krakowa. Nie ma tu tajemniczego mordercy ani wielkiej policyjnej obławy. Jest natomiast dramat młodego człowieka i jeden nieodpowiedzialny gest. I sąd, który już trzy stulecia temu próbował odpowiedzieć na pytanie, z którym wymiar sprawiedliwości mierzy się również dzisiaj: gdzie kończy się tragiczny wypadek, a zaczyna zbrodnia.